

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 183.

№ 21. | Warszawa, 1 listopada 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.

IV-ta Warszawska Wystawa Psów.



„Sulf"

irlandzki setter p. Schmidta. (Medal złoty).

Przegląd krajowych ssaków łownych.

(Ciąg dalszy).

Pokarm łosia stanowią przeważnie młode pędy, szczególniej łoziny, oraz kora rozmaitych drzew, którą zdziera zębami, przez co szkody w leśnictwie wyrządza. Aby się dostać do wysoko położonych pędów, nachyla głową witki, przesuwa stopniowo ku cieńszym miejscom i chwyta koniec wargami. Wskutek zwyczaju tego, łosie mają zwykle sierć wytartą od spodu na granicy głowy i szyi.

Zwykły sposób chodzenia łosia (w szybszym biegu) jest to t. zw. skrocz, to znaczy, że zwierz wysuwa jednocześnie przednią nogę prawą i tylną prawą — naprzód, gdy obie lewe nogi pozostają zwrócone ku tyłowi, a nie jak w kłusie, przy którym nogi się krzyżują, t. j. że zwierz wynosi jednocześnie naprzód prawą nogę przednią i lewą tylną, a ku tyłowi—lewą przednią i prawą tylną. Ten sposób chodzenia mają też słonie i nosorożce. Błąd wielki popełnił jeden z naszych malarzy, mistrz w odtwarzaniu scen myśliwskich, który na swym pięknym obrazie namalował łosia „kłusującego".

Dziwnym jest objawem, że łoś, umykający w pośpiechu, prawie nigdy nie przechodzi w galop, lecz sunie skroczem; natomiast raniony, stale galopuje, co nawet dla myśliwych jest znakiem prawie niechybnym, że zwierz postrzał dostał.

Użytek, jaki łoś przynosi człowiekowi, jest stosunkowo nieznaczny. Mięso jego, jakkolwiek jadalne, nie należy do bardzo smacznych; według zdania znawców, przypomina ono koninę, o czem sądzić nie mogę, gdyż jakkolwiek jadłem w swem życiu kilkakrotnie mięso łosia, ale nie zdarzyło mi się nigdy próbować koniny. W każdym razie polędwica z łosia, odpowiednio przyprawiona, stanowi potrawę wcale smaczną. Słynęły też w dawnej Polsce chrapy łosia; zdaje się jednak, że potrawa ta była dobra w dawnych czasach, kiedy podniebienia nie były jeszcze tak wydelikacone, jak teraz; wątpię, czy współczesnym smakoszom przypadłaby ta potrawa do gustu.

Skóra łosia, wyprawiana na zamsz, jest bardzo ceniona i używana do wyrobu pantalonów, kaftaników i t. p.; nadto wiele osób używa skóry tej na pościel, podkładając ją pod prześcieradło na materac. Zdaniem wielu, spanie na skórze łosiej ma być bardzo zdrowe. Rogi łosie służą jako ozdoby gabinetów myśliwskich, a nadto mają zastosowanie w wyrabianiu świeczników, krzeseł i t. p. Używa się także w nożownictwie. Wreszcie „badyle", czyli nogi, używane też bywają przy wyrobie krzeseł, do ozdoby gabinetów myśliwskich służących.

Łoś wogóle unika cywilizacyi, której postęp usuwa go coraz bardziej ku wschodowi. Oczywistą jest rzeczą, że w lasach o małej kulturze, które dziś zamieszkuje, szkody przezeń czynione, są nieznaczne; słusznie więc zwierzowi temu, znikającemu stopniowo z powierzchni ziemi, należy się ochrona.

Jeleń (*Cervus elaphus*). Ten prawdziwie królewski zwierz należy do rzędu przeżuwających, a do rodziny jeleniowatych, podobnie jak łoś, daniel i sarna. Wzrostem ustępuje na ogół łosiowi, niemniej jednak bardzo wyrośnięte osobniki górskie dochodzą prawie tej samej wagi, co i łosie.

Rogi jelenia, czyli t. zw. wieńce, różnią się bardzo swym kształtem od rogów łosich. Każdy róg składa się z wydłużonego, cylindrycznego pnia, od którego wychodzą niby konary, pojedyncze wyrostki. Ponieważ terminologia pojedyńczych wyrostków nie jest u nas jeszcze ustalona, a właściwie nawet — nie istnieje, przeto przy opisie typowego rogu jelenia postaram się stosować własne nazwy, nie mając bynajmniej pretensyi, aby one weszły w powszechne użycie.

Pojedyńczy róg typowy jelenia posiada u nasady t. zw. różę, czyli rodzaj zgrubienia silnie uperlonego. Tuż ponad różą wychodzi wprost naprzód bardzo silnie rozwinięty wyrostek *nadoczny*. W niewielkiej odległości od niego, a niekiedy tuż nad nim, znajduje się nazewnątrz i ku przodowi skierowany wyrostek ***środkowy***, a nad nim, mniej więcej w połowie długości rogu, również na zewnątrz i ku przodowi wygięty—wyrostek *górny*. Prawie zawsze u wyrośniętego jelenia istnieją wyrostki: nadoczny i środkowy; górny zaś trafia się nie zawsze. W pewnej wysokości ponad wyrostkiem górnym róg rozszczepia się w mniejszą lub większą ilość wyrostków, które sta-

B. ŁASKA.

Polowanie z „kwikiem".

(Z życia rosyjskiego).

(Ciąg dalszy).

Aleksander Wasiliewicz odłożył cygaro, przeciągnął się, ziewnął raz, potem wstał od biurka i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem. Wnet się rozmyślił:

— Zresztą, parę wilków ubić, nieby nie szkodziło, a ja zabiję! Potem pojadę do Tolewa,—rozumie się, zagramy. Trzy ładne lewe — dobre karty — kupa pieniędzy; przecież tam będzie także Nina Pawłówna!

Na wspomnienie Niny Pawłówny, Aleksander Wasiliewicz przystanął nagle, poczem zawrócił i zbliżył się do lustra. Był przystojnym mężczyzną. Wysoka postać barczysta świadczyła jeszcze o pełni sił męzkich, krótko przystrzyżone włosy i mała bródka, były, jak kruk, czarne, oczy miały błysk ognisty. Gdyby nie przeklęte zmarszczki pod oczyma!

— Ale któż nie ma zmarszczek?

Aleksander Wasiliewicz pogładził wąsa, oderwał się wreszcie z wysiłkiem od lustra i powrócił do jadalni. Koło drzwi stał Szkurkin, który ostrożnie rozwiązywał worek.

— Uh! Uh! Jaki uparciuch! Dobra sztuczka! Wasza miłość raczy spojrzeć, to nawet wieprzak, a nie świnka, o! —rozprawiał, wydobywając z przyniesionego worka młode prosiątko, drobne, śnieżnobiałe, prosto od lochy, które ledwie się poruszało na ręku, rechtało i z ledwością otwierało drobne, zaspane oczęta, nawpół przymknięte.

— Ależ to za małe — zauważył Aleksander Wasiliewicz —, czy ono będzie kwiczało?

— Ha! musi śpiewać, tak — gorączkował się Szkurkin i dał prosiakowi klapsa pod uszy; wieprzak jednak raz tylko zakwiczał, poczem rechtał wolno, jak we śnie.

— Nie, to na nic, nie przyda mi się, jest zanadto śpiące.

— No, ale inaczej być nie może, to doskonały, najlepszy towar, to właśnie „delikatna" sztuka — pouczał Szkurkin tonem kupca.

— Dlaczego „delikatna"?

— Żeby tak prawdę powiedzieć, zwyczajne prosię pochodzi z chlewu, to zaś chowało się, jako chłopskie, w izbie, a takie są „delikatne", „pieszczone". Bo to o chlewne nikt nie dba, takie zaś noszą na ręku, małe dzieci je całują, a cała rodzina pieści, tak.— A mogę was zapewnić, że to prosię było u nas w domu, a ma wie-e-ele w sobie czystości i delikatności. — A wiecie, chociaż może nie uwierzycie, a jednak

nowią *koronę*. Tutaj zaznaczyć należy, że rogi bywają dwóch głównych typów. Jeśli róg ku końcowi jest spłaszczony i rozszerza się w formie łopaty, będziemy mieli typ *łopatowaty* (zdaje się, rzadszy z dwóch); jeśli zaś końcowe wyrostki rozchodzą się na wszystkie strony, tworząc między sobą rodzaj lejka, to będzie typ rogów *kandelabrowaty* — (częściej spotykany).

Bardzo często na rogach, zamiast niektórych wyrostków znajdują się tylko mniej lub więcej rozwinięte guzy. Otóż przy obliczaniu wyrostków za granicą przyjęto uważać za wyrostki tylko te, na których można swobodnie zawiesić zwykłą, skręconą trąbkę myśliwską; jeśli trąbka na takim wyrostku nie chce się utrzymać, to nie wchodzi on do rachunku.

Nazwy jelenia-byka są zależne od ilości wyrostków na rogach. I tak: jeleń w drugim roku z pojedyńczemi szpilami nazywa się *śpiczak*, z pojedyńczem rozwidleniem rogów — *widłak*, przyczem zauważyć muszę, że ta forma rogów jest anormalna, gdyż byk po pierwszem zrzuceniu t. zw. szpil, powinien odrazu zostać *szóstakiem*, czyli jeleniem, mającym na każdym rogu po trzy końce. Po szóstaku idzie *ósmak*, dalej — *dziesiątak*, *dwunastak* i t. d. Ponieważ nie zawsze rogi bywają symetryczne, więc zdarza się dość często, że liczba wyrostków na obu rogach bywa niejednakową. Przyjęto za zasadę oceniać jelenia podług tego rogu, który ma większą ilość wyrostków. I tak, jeżeli jeleń ma na jednym rogu 6 końców, a na drugim tylko 5, to się dubluje liczbę 6 i tym sposobem jelenia oceniamy jako dwunastaka. Dlatego nie możemy powiedzieć: jeleń dziewiątak, jedenastak, trzynastak i t. d. Ze znanych rogów najbogaciej ubrane wieńce znajdują się w królewskiej kolekcyi rogów na zamku Moritzburskim pod Dreznem, a mianowicie na jednej gałęzi noszą 17 wyrostków, czyli że jeleń był 34-iem.

Przy ocenie wartości rogów należy brać na uwagę przedewszystkiem ich wysokość, następnie grubość, bogactwo operlenia, bujność wyrostków, symetryę obu rogów, ich rysunek, a wreszcie kolor, który tem jest piękniejszy, im jest ciemniejszy.

Najpiękniejsze rogi, jakie mi się zdarzyło widzieć, znajdują się na zamku Montresor w środkowej Francyi i są własnością Ksawerego hr. Branickiego. Waga ich wynosi 14 kilo, czyli około 35 naszych funtów, a rozrost, symetrya i kolor są rzeczywiście zdumiewające. Pochodzą one z Perehińska w Karpatach galicyjskich. Jeleń, który je nosił, został zadarty przez niedźwiedzia; trupa znalazła służba ś. p. Artura hr. Potockiego, który rogi podarował ś. p. Konstantemu hr. Branickiemu, ojcu hr. Ksawerego.

Wielkość jelenia zmienia się względnie do okolicy, jaką zamieszkuje. Wogóle można zauważyć w stosunku do tej zwierzyny ogólne prawo, że ku zachodowi jelenie są mniejsze, niż na wschodzie. I tak, największe jelenie zamieszkujące Europę, są karpackie, potem idą jelenie z Królestwa Polskiego, następnie niemieckie i francuskie. Jako maksymalną wagę jelenia z Karpat galicyjskich, mogę podać wagę byka, zabitego we wspomnianym już Perehińsku, a mianowicie 298 kilo, co się równa 745 funtom naszym; tymczasem bardzo wielki byk, zabity w Węgrzynowicach pod Spałą, — bodaj największy w całej okolicy, ważył ledwie 480 funtów. Zaznaczyć muszę, że obie, podane wyżej, maksymalne wagi, były wzięte po wypatroszeniu zwierza. Brak mi danych co do wagi jeleni francuskich i niemieckich, sądząc jednak na oko, najgrubszy jeleń francuski waży conajwyżej połowę tego, co najgrubszy jeleń karpacki.

Jan Sztolcman.

(C. d. n.)

Albert Mniszek.

JARZĄBEK.

(Tetrastes - Bonasia).

(Ciąg dalszy).

Kuczęta, wzorem innych kurczaków, opuszczają rychło po wykluciu gniazdo, żywią się początkowo mrówczemi jajami, a skrzydełka ich rozwijają się tak szybko, że dziesięciodniowa ptaszyna już wzlatuje na drzewo. W razie niebezpieczeństwa umie ona tak się do drzewa lub ziemi przytulić, że znika formalnie

---

wam mówię, że to prosię razem z kotem sypiało ze mną w jednem łóżku! Ej, ej, ej!

Szkurkin rozgadał się zapalczywie, żywo machając rękoma.

— No, nie, mój gołąbku, z tego nic nie będzie, nam potrzeba dobrego „kwikacza“ — przerwał Aleksander Wasiliewicz.

Szkurkin zamilkł chwilę, patrząc zakłopotany na swe buty, nagle jednak wysunął się naprzód, uderzył ręką o głowę i wybuchnął:

— Ach, jak mogłem o tem zapomnieć! Jakżeż nie! Bardzo niedawno, przed kilku dniami, był w moim sklepie taki krzykacz, także bardzo mały. No, mówię wam, to był muzykant, tak, mówię wam! No, no, skrzypce prawdziwe, tak, naturalnie, jak skrzypce! Tego było tylko raz dotknąć, ba, spojrzeć tylko na niego, — a ogłuchnąć można było, ej, ej, ogłuchnąć, mówię wam! Skąd się to u niego wzięło? A przytem było małe, chude.

Z uśmiechu Szkurkina i błysku jego oczu łatwo się dało wywnioskować, że wspomnienie o tych „skrzypcach“ było dlań nader przyjemne.

— No, takiego właśnie pragnę nabyć — mówił Aleksander Wasiliewicz.

— Z całej duszy, przyniosę, tak — odrzekł Szkurkin i wsunął szybko „delikatną“ sztukę, „malutką“, znowu do worka. — Do widzenia zatem, bądźcie tymczasem zdrowi. — ukłonił się i powlókł z sobą worek za drzwi.

Upłynęła zaledwie godzina, a dzielny Szkurkin stał już znowu przed furtką domu, szarpiąc niemiłosiernie za dzwonek. Na plecach miał zarzucony worek, w którym poruszało się prosię, zapełniając ulicę całą swym kwikiem.

Spacerowicze świąteczni zatrzymywali się przed bramą, naigrawając się wesoło ze Szkurkina.

— Jakżeż, Michaił Jegorowicz, chcesz wizytę złożyć panu?— dokuczali mu. — Wyrzucą cię prędko razem z twym „kamratem“!

— Kto? Pan może?! Przecież ja tam idę z interesem, ze sprawą myśliwską, a nie ze zwyczajną wizytą!

Roztworzono mu drzwi.

— Mam go! Wyszukałem takiego, że nigdzie nie znajdą lepszego - oświadczył wesoło Szkurkin i ocierając pot z czoła, rzucił worek na ziemię.

Prosię nieco przycichło na ziemi, lekko tylko rechcąc. Szkurkin schylił się i rozwiązał worek.

— Tym razem to już napewno dobrze trafiłem — rzekł ucieszony.

— No pokaż, — mówił Aleksander Wasiliewicz.

— Ih, ih, lepiej nie dotykać, to niebezpieczne, tak, to ze wszystkiem dzikie. To wściekłe, prawdziwie wściekłe! Natychmiast się odezwie, tak, mówię wam, struna napięta, istna struna! Dosyć tylko palcem dotknąć!

I uderzył prosiątko po ryju.

„Struna“ odezwała się głośno, a gdy Szkurkin

z oczu drapieżnikowi, a kura, aby odwrócić jego uwagę od kurcząt, niby odbiega, udając zbarczoną, i pada dobrowolnie ofiarą swej bezprzykładnej miłości macierzyńskiej. Cóż to za wzruszający, rzewny obrazek z tajemnic życia przyrody!

U żadnych innych kuraków nie pozostają tak długo małe pod opieką matki, jak się to rzecz ma u tego gatunku. Jeszcze z końcem września spotyka się zupełnie dorosłe ptaki pod opieką matki, często i obojga rodziców. Znak to, że wobec trudnych warunków życia i grożących zewsząd niebezpieczeństw, tej opieki one potrzebują.

Rola starego koguta, jako opiekuna stada, jest dosyć niejasną i dotąd należycie niezbadaną.

Jedni naturaliści, jak Büchner, Löwis, Lorenz, twierdzą, że kogut nigdy nie jest w stadzie i kura sama o wychowanie potomstwa się troszczy, gdy inni, jak Krüderer, Sabaniejew, Brehm i Barth, są zdania, że wprawdzie kura po wykluciu się młodych sama je wodzi, jednakowoż, gdy te dorastają, kogut-ojciec do stada powraca i sprawuje w niem rządy aż do końca, t. j. do czasu, w którym się stado rozchodzi.

Zdaje się nie ulegać kwestyi, że to drugie twierdzenie jest słusznem. Przemawia już za tem niezbity fakt, że jarząbek żyje w jednożeństwie, a więc, co za tem idzie, uczuwa on naturalne przywiązanie do swego potomstwa. Rola jego ogranicza się jednak tylko na czuwaniu zdaleka, na utrzymywaniu czujnej straży nad stadem i ostrzeganiu matki o zbliżającem się niebezpieczeństwie. Pozwalam sobie na to twierdzenie, gdyż opieram je na własnem doświadczeniu. W połowie lipca przedzierałem się raz konno przez zarośla leszczynowe, chcąc sobie drogę do domu przez las skrócić. Wtem usłyszałem gdzieś z drzewa dziwny, bo wtedy jeszcze nieznany mi głos jakiegoś ptaka (dziś wiem z pewnością, że to był głos jarząbka-koguta), a za chwilę burknęło gdzieś niedaleko odemnie całe stadko, dla mnie zupełnie niewidzialne, a w parę sekund znowu usłyszałem osobno najwyraźniej charakterystyczne burknięcie jednego jarząbka, a więc koguta, który się zerwał z drzewa i podążył za stadem.

Okoliczność ta, że kogut rzadko razem ze stadem się zrywa, jak również i ta, że w lecie dla braku czarnej plamy na podgardlu, trudno bywa poznawany, dała życie bardzo wątpliwej supozycyi, że kogut o swoje potomstwo się nie troszczy. Sprzeciwia się temu i Valentinitsch, który powiada, że gdy wabił koguta w bliskości stada, zawsze mu się tenże odezwał, choć nigdy zwabić się nie dał, i pozostał dla obserwatora niewidzialnym.

W miarę dojrzałości ptaków, prędzej lub później, w każdym razie w okresie od połowy sierpnia do końca września, rozluźniają się powoli węzły rodzinne w stadzie, aż w końcu rozdziela się ono na pojedyńcze indywidua. Te indywidua jednak z uzyskaniem samoistności nie tracą odrazu rodzinnego przywiązania, łączy je zawsze jakiś czas bliższy stosunek i uczucie braterskie. Ten czas i to uczucie potrafił wyzyskać dla swych celów, myśliwy. Naśladując głos koguta lub kury, zwabia łatwo na strzał wygodny młodego ptaka. Jest to rzadki bardzo, a może i jedyny wypadek w łowiectwie, gdzie myśliwy, dla zwabienia zdobyczy, nie wyzyskuje popędów erotycznych swej przyszłej ofiary, lecz by przyozdobić tym pięknym ptakiem torbę myśliwską, gra na wzniosłem uczuciu przywiązania rodzinnego.

Łowom tym wysokiego rzędu i sposobom ich wykonywania, poświęcimy w pracy naszej osobny i szczegółowo obrobiony rozdział.

Teraz pozostaje nam do skreślenia kilka jeszcze charakterystycznych rysów i obyczajów opisanego przez nas gatunku.

Niewyjaśnioną jeszcze jest kwestya, czy, jak twierdzą niektórzy, stare koguty w jesieni po rozwiązaniu się stada, wyrugowują swoje potomstwo z rodzinnego rewiru, który rezerwują dla siebie. Danych na to niema, faktem jest jednak, że zdarzają się w tym czasie, jak już wspominaliśmy wyżej, bitwy kogutów między sobą, a okoliczność ta, jak i również to, że jarząbki są zwykle równomiernie rozmieszczone w danej okolicy i liczba ich w danym rewirze z roku na rok się rzadko kiedy powiększa, nadawałoby wiele prawdopodobieństwa tej hipotezie.

Jarząbek, jako ptak, żyjący zwykle w rewirach dzikich, górzystych, lub bardzo rozległych, któremi kultura łowiecka mało się opiekuje, ma mnóstwo nieprzyjaciół. Ci mu codziennie zagrażają! Wilk, lis, ryś, żbik, kot, kuna, tchórz, łasica, niedźwiedź i dzik niszczą tak stare, jak i młode pokolenia. Borsuk, jeż i wiewiórka są znanemi amatorami jaj ptasich, a więc i jarząbkowych. Wszystkie sokoły, jastrzębie, krogu-

---

wziął je lekko na ręce i począł troszkę dusić za gardło, „wybuchło“ tak, że obrazy, wiszące na ścianie, zadygotały.

— Doskonale! Doskonale! — zawołał teraz bardzo zadowolony Aleksander Wasiliewicz, polecił zostawić „muzykanta“ i dobrze go pilnować.

Aleksander Wasiliewicz był kontent, zapłacił więc dobrze i pochwalił Szkurkina, odprawiając go do domu.

* * *

Późno wieczorem wyjechały z miasta sanki szerokie, wygodne, wyplatane trzciną.

Spokojna trójka koni sunęła naprzód lekkim truchtem. Gdzie droga zwęziła się znacznie, dwa boczne rumaki zbliżały się do środkowego w hołobli.

W saniach siedziało pięciu: Aleksander Wasiliewicz i emerytowany pułkownik gwardyi, Dubrow, na głównem siedzeniu; naprzeciw nich zajęli miejsca, odwróceni tyłem do woźnicy, siedzącego na koźle, młody adwokat Zorin i aptekarz Bruckmann. Po opuszczeniu miasta zatrzymano sanie: myśliwi wyciągnęli z tylnej strony sań małą wiązkę słomy, przymocowaną sznurkiem, i zarzucili za samami, czyniąc „powłokę“; następnie wydostali z pod nóg woźnicy worek z prosięciem, który położyli przed sobą, wreszcie nabili broń, leżącą na kolanach, i pojechali dalej.

— Moi panowie, będziemy po kolei dusili „muzykanta“! — proponował Dubrow.

— Oczywiście, oczywiście! - przytakiwali wszyscy.

Dubrow pierwszy przysunął do siebie worek i zaczął dusić.

Prosiątko zaczęło się miotać, rechtać, potem zaraz „zaśpiewało“. Uderzając wokoło, wysunęło ryj przez otwór, wycięty w worku, i zaczęło rozpaczliwie kwiczeć, a głos rozlegał się daleko. Towarzystwo bawiło się wesoło, śmiało, żartowało, poczem jednak panowie umilkli, rozglądając się uważnie po okolicy.

Ujechali tak kawał drogi, a wilków nie było nigdzie widać. Noc zapadła, a myśliwi ciągle jeszcze objeżdżali wokoło miasto i wsie okoliczne.

Jasna, widna noc księżycowa nie usposabiała do snu, lecz zdawała się jakby sama słuchać wszelkiego szmeru na ziemi, jak uważna i cicha warta. Mróz był trzaskający, gwiazdy błyszczały. Na lśniącej, jak szaty cerkiewne, równinie, świeciły się krzaki rozrzucone, srebrzył się las poważny, a szerokie cienie padały na okolice.

Z obu stron drogi znaczyły się ślady gości nocnych: na prawo i na lewo wiły się w niezliczonych „kluczach“ i krzywiznach „szlaki“ zajęcy, tu i owdzie zmieszane z cienkiemi, prostemi liniami śladów lisich, a można było także rozpoznać stare i świeże tropy wilków.

(Dok. nast.)

lec, orzeł przedni, puhacz, sowa uralska, na północy zaś sowa śnieżna i jarzębata, polują z upodobaniem na jarząbkową pieczeń. Wszystkie wreszcie krukowate, sójki i orzechówki rozbijają gniazda, wypijają jaja i wyłapują młodziutkie kurczątka. Najniebezpieczniejszym wrogiem jarząbka jest bez kwestyi jastrząb gołębiarz (Astur palumbarius) i krogulec (Accipiter nisus) i nierzadko się zdarza, że dwa te drapieżniki przy wabieniu jarząbków się zjawiają i z broni myśliwego zasłużoną karę ponoszą.

Tak więc jarząbek dobrze musi się pilnować, by, wobec tych trudnych warunków bytu, mógł egzystować i rozmnażać się.

Lecz matka-przyroda, która tak samo opiekuje się potężnym zwierzem dżungli i gór, jak i najdrobniejszym chrząszczykiem, żyjącym na źdźble kołysanej wiatrem trawy, dała tej cichej, niewinnej i bezbronnej ptaszynie tyle sprytu, wrodzonej ostrożności i samozachowawczego instynktu, że dobrze pracować musi drapieżnik, nim na smaczną pieczeń jarząbka zasłuży, a i myśliwy wielkiego kunsztu swego używać musi, by ptaka tego do torby swojej mógł przytroczyć.

Dawniej często słyszane, a szczególnie przez starszych myśliwych wypowiadane zdanie, że jarząbek to ptak głupi i nieostrożny, nie wytrzymuje w świetle badań przyrodniczych najlżejszej krytyki.

(*C. d. n.*).

(*„Łowiec“*).

W PODRÓWNIKOWEJ AFRYCE 1905 r.

Niewydany Dziennik Podróży Pani Anny de la Motte Saint-Pierre.

Z francuskiego tłómaczył

Jan Sztolcman.

(*Ciąg dalszy*).

13 września. Wyruszamy w godzinę po Guy'u, który słyszał lwa w tem samem miejscu, co i wczoraj. Zanim go odnaleźliśmy, spotykamy resztki lamparta: Jest to młoda antylopa Granta, której czaszkę zabieramy z sobą; nieco dalej widzimy ślady butów Guya obok tropów dużego lwa.

W samej rzeczy mąż mój tropił go przez półtory godziny, aż doszedł do rodzaju fortecy, w której lew się ukrył. Ten niewielki gąszczyk znajdował się na nieszczęście tuż obok strumyka. Gdy trop był łatwy do odróżnienia, Guy szedł zawsze przodem; nieszczęście jednak chciało, że Ndorobo znalazł się w tem miejscu przed moim mężem, a pluszcząc nieostrożnie w wodzie, lwa spłoszył...

Lew tymczasem, pomrukując, uchodzi, zanim Guy miał czas przybyć na miejsce. Mąż mój widział go, znikającego w gąszczu o 30 metrów zaledwie, nie miał jednak nawet czasu przyłożyć strzelby do ramienia; pościg trwa dalej, bez nadziei jednak dobrego rezultatu. Rozpacz porywa myśliwego, gdy, znajdując się ledwie o 10 metrów od dużego lwa; nie może mu wpakować kuli!

Widzimy setki marabutów, żerujących w miejscach błotnistych, gdzie ich nawet podejść nie można. Dwóch askarisów przynosi depeszę cyfrowaną dla Henryka. Oczekujemy z niepokojem; w samej rzeczy była to wiadomość o śmierci babki.

Rozbijamy obóz nad strumieniem w niewielkiej odległości od jeziora i trochę na południe od dawnej „bomy“: zabijamy jeszcze kilka byrax'ów.

14 września. Ruszamy, idąc równolegle do Molo, i widzimy w oddali szałasy Djemp'sów. Znów mamy do przebycia nową równinę błotnistą i dochodzimy do rzadkiego lasu akacyowego, w którym przebywa mnóstwo impalahów, antylop Granta, dik-dików, pentarek, kuropatw, strusi, a między niemi widać nieodłączne tropy nosorożców; jeden z przedstawicieli tego gatunku pasie się nawet na wzgórku o 150 metrów, zostawiamy go jednak w spokoju.

Po pięciogodzinnym marszu przybywamy na grzbiet pasma gór, skąd roztacza się jeden z najcudniejszych widoków na niewielkie, błękitne jezioro Hanningtona. Brzegi jego są zabarwione na kolor perłowy, różowy i biały przez niezliczone stada flamingów. Ku wschodowi łańcuch gór, okryty zielenią, kończy się prostopadłą skałą u brzegów jeziora. Na północ dolina jest zrzadka usiana wielkiemi akacyami, pod któremi rozbijamy nasz obóz na brzegu pięknego strumienia, o wodzie względnie przejrzystej.

15 września. Droga nasza dzisiaj wypada z początku równolegle do brzegu jeziora. Misyonarz i Guy ranią ciężko dużego koba, lecz na nieszczęście zwierz uchodzi na drugą stronę głębokiego strumienia, który jedynie w łodzi możnaby przebyć, a na to nie mamy czasu. Henryk zbliża się na możliwie bliski dystans, aby sfotografować długie szeregi flamingów.

Ażeby dać pojęcie o olbrzymich stadach tych ptaków, przytoczę najlepiej opis sir Harry Johnstona z jego pięknego dzieła, w którem znajdujemy też doskonałe ryciny kolorowane, znakomicie ilustrujące ten fenomen. Podaję tłómaczenie dokładne.

„Nie przesadzę bynajmniej, jeśli powiem, że na jeziorze Hanningtona znajduje się około pół miliona flamingów. Ptaki te gromadzą się przeważnie na północnym brzegu jeziora i na mieliznach, które przecinają piękną, niebiesko-zieloną powierzchnię gładkiego, jak lustro, jeziora. Brzegi, na których się to ptactwo gromadzi, są białe od guana. Flamingi lęgą się na nizkiej, błotnistej równinie, szerokiej na milę i znajdującej się od strony północnej jeziora. Gniazda ich są to małe pagórki z błota, których wklęsły szczyt wysłany jest piórami. Górki te robią wrażenie kretowin niezliczonych. Flamingi tutaj nie są bynajmniej dzikie, gdyż ich nigdy człowiek nie niepokoił.

„Ptaki te należą do gatunku *Phoeniconais minor*, znacznie mniejszego od flamingów śródziemnomorskich, lecz posiadających ubarwienie bez porównania piękniejsze. Ptak dorosły posiada ciało i szyję pysznego koloru różowo-cynobrowego, niby zachodzące słońce. Dziób jest purpurowy i szkarłatny; nogi różowe z odcieniem karminowym. Skrzydła są czarne i różowe, lecz zwierzchnie pióra mają barwę pięknie szkarłatną. Zdaje się, że ptaki dochodzą do tej szaty dopiero po skończeniu trzech lat życia. Młode flamingi szybko dochodzą tej samej wielkości, co i stare, lecz ubarwienie ich jest zrazu szaro-perłowe, następnie koloru róży herbacianej, a dopiero potem występuje barwa słońca zachodzącego. Na pobrzeżu północnem wyspy pas flamingów dosięga prawie mili długości. Ta masa ptactwa, widziana z wyżyny, posiada od góry barwę szaro-perłową, staje się ku środkowi różową, a od strony wody przybiera wspaniałą barwę cynobrową. Pochodzi to stąd, że na stronie zewnętrznej trzymają się ptaki młode, gdy tymczasem najbardziej posunięte ku jezioru, są to osobniki stare. Biegają one po mulastym brzegu i nie zawsze jest łatwo zmusić je do lotu.

„Hałas, jaki te ptaki czynią, słychać na milę odległości. Miliony krouk - krouk krouk, wydawane przez ptaki w powietrzu, zmieszane ze świstem i swish swish-swish podrywających się do lotu osobników, tworzą razem tak nieopisany hałas, że trzeba krzyczeć, aby się dać słyszeć swym towarzyszom. Ciekawym jest ich chód niezręczny w chwili, gdy się mają zerwać do lotu. Jest to zabawny galop, przyczem ptak odchyla skrzydła i szyję naprzód wyciąga, zanim się w powietrze uniesie“.

Rozpoczynamy wszyscy rotowy ogień kulami do tych ptaków, gdyż zbliżyć się do nich na odległość strzału śrótowego jest już teraz niepodobna. Nie zależy na tem, czy bierzemy trochę za wysoko, czy trochę za nizko, gdyż nawet rykoszety znajdują swe ofiary wśród tej olbrzymiej tarczy żyjącej.

I mamy oto na naszym rozkładzie ze 20 ptaków, poczynając od białych, a kończąc na czerwonych, z całą seryą pośrednich — szaro-perłowych i koloru róży herbacianej. Niektóre z nich trudno nam jest dostać, dzięki głębokiej i grzązkiej warstwie mułu. Jeden z askarisów z wojennego posterunku ryzykuje swe życie dla wydobycia tych ptaków, co przypomina Guy'owi, że w 1893-im roku w pobliżu Port Saidu o mało życia nie stracił w podobnych okolicznościach, chcąc wydostać zabite flamingi.

Guy rani steinbucka, którego strzelbonosiec chwyta za nogę, a potem wypuszcza niezręcznie. Spotykamy karawanę hindusa z Baringo i zaopatrujemy się u niego w nowy zapas cukru; brak już nam było od dwóch dni tego produktu, co się nam dotkliwie dawało we znaki.

Rozbijamy obóz w pobliżu maleńkiego strumienia, który toczy swe wody przejrzyste wśród trzcin przybrzeżnych. Guy bierze kąpiel u samych źródeł tego potoku, które wytryskują z ziemi o temperaturze 36°—38°; lecz wkrótce ucieka napastowany przez niezliczone, małe pijawki, zupełnie podobne do tych, jakie się spotyka w lasach madagaskarskich.

Resztę czasu poświęcamy preparowaniu flamingów, co bynajmniej nie jest rzeczą łatwą. Przed obiadem mamy zwykłą burzę.

(C. d. n.).

O szkockich terrierach.

Na szkockich wybrzeżach morza północnego i w głębi lądu, na pasmie gór Grampian wyprodukowano przed wielu laty, dziś już ustaloną rasę psów myśliwskich, zwaną „Dihard" lub „Scoth-Terrier". Rasą tą zaopiekowali się Anglicy, poznali jej łatwą podatność, oraz wielostronne zastosowanie, i dokładnym opisem zjednali dla niej zwolenników w innych państwach Europy.



Oakroyd Raggs. — Dihard, urodzony 15-go marca 1905-go r. w Bradford. Według fotografii autora.

Ponieważ obecnie psy rasy tej jeszcze do rzadkości u nas należą, przeto skreślę w krótkości charakterystyczne cechy ich budowy zewnętrznej i sposób użycia ich do polowania.

Dihard, wychowany w mroźnym klimacie swej ojczyzny, pokryty jest twardym, szorstkim włosem, koloru czarno-bronzowego, szarego lub burego, i jest na pierwszy rzut oka, nieco podobny do jamnika. Tej samej wysokości, lecz znacznie krótszy, różni się od jamnika tem, że ma przednie nogi proste; małe, stojące uszy, wysoko osadzony, krótki ogon. Pierś jest nader szeroka, kość i mięśnie dobrze wykształcone. Wyjątkowo silnie zbudowana jest wielka, długa głowa z nizko osadzonemi, ciemno bronzowemi ślepiami i paszczą, kryjącą groźne uzębienie. Każdy ząb górnej szczęki wchodzi szczelnie między dwa zęby szczęki dolnej, a równie dokładnie zwierają się duże kły. Dzięki temu uzębieniu, walka z lisem i borsukiem kończy się szybko zwycięztwem diharda.



Uzębienie Raggsa. Według fotografii autora.

Jakkolwiek zewnętrzny wygląd scotha jest bezsprzecznie niezwykle dziki, to jednak pies ten przywiązuje się szybko i trwale do swego pana i staje się wiernym, nieprzekupnym stróżem jego własności. Obcym nie dowierza, bezwzględnie zaś nie znosi włóczęgów w opuszczonem lub odartem odzieniu.

W zastosowaniu do polowania, łączy dihard w sobie zalety tych ras, z których go bez wątpienia wyprodukowano, t. j. szorstkowłosych terrierów i jamników. Po terrierach odziedziczył inteligencyę, bezgraniczną odwagę i lekceważenie ran własnych; po jamnikach doskonały węch, zmysł oryentacyjny i łatwe, dźwięczne naszczekiwanie zwierza. Wskutek tych zalet nadaje się scoth równie dobrze do polowań nad, jak i pod ziemią.

Wpuszczony do jamy lisiej lub borsuczej, głosi zrazu donośnie, a w stosownej chwili chwyta, zagryza i wyciąga rabusia. Zębów przeciwnika nie boi się, — praktyczne, twarde futerko chroni go dostatecznie.

Jako tropowiec, oddaje dihard myśliwemu nieocenione usługi. Doskonały węch ułatwia mu rozwikłanie każdego tropu. Na rzemieniu lub wolno puszczony, prowadzi pana swego spokojnie za farbą,w razie zaś potrzeby dogryza postrzałka i oglasza.

Jako gończak, nadaje się scoth najlepiej do polowań na grubego zwierza, gdyż wskazanego mu śladu nie opuszcza, zwierza zaś długo, odważnie atakuje.

W końcu muszę jeszcze nadmienić, że psów tych można używać do polowań na ptactwo na polach i błotach. Każdy dihard z natury aportuje, do wody chodzi bardzo chętnie, w polu zaś pilnie szuka. Jeżeli więc jest posłuszny i niezbyt daleko od myśliwego odbiega, to łatwo strzelać można przed nim kuropatwy, przepiórki, lub ptactwo błotne.

Piękna, niezwykła rasa szkockich terrierów zasługuje więc słusznie ze wszech miar na uwagę i zyskuje też chyżo zastępy coraz to nowych zwolenników, którzy najrozmaitsze, prawdziwe lub nieprawdziwe zalety chwalą. Pewnem jednak jest, że żaden hodowca dihardów nie zarzucił hodowli tej na korzyść innej rasy.

Mieczysław Beill.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

25 lutego. Przy niedzieli dzień odpoczynku. Rankiem posłałem starego Maulana i Soulta na zwiady tropów, wrócili z dwoma pawiami dla naszej kuchni i raportują, że moc świeżych śladów wszelakiego zwierza widzieli. Zdają się potwierdzać zapewnienia Anglików, że najlepsze rewiry są między Yalą a Mandagalą. Dzień drog nas oddziela jeszcze od tej ostatniej miejscowości, która będzie zarazem stanowiła kres naszej marszruty.

Czas mamy wciąż jednakowy, jasną, słoneczną pogodę, ze świeżym wiatrem od morza W południe do 3-ej skwar niemal nie do wytrzymania, wieczory i ranki znośne, noce stosunkowo nawet chłodne. Temperatura trzyma się w dzień stale od 22 do 24° R. nad rankiem przed samym wschodem słońca spada do 18°; jest to najniższa cyfra, jaką wskazywał termometr w ciągu naszej wycieczki. Wogóle na klimat ani razu uskarżać się nie mieliśmy powodu, a zachowując odpowiednie ostrożności i reguły życia i ubrania, nie cierpi się zbytnio gorąca, Słońca się strzedz, zbytnio się nie męczyć i wody nie pić—to główne reguły życia w dżungli dla Europejczyka.

Klimat nad brzegiem morza jest uważany za zdrowy; im więcej się posuwa w głąb kraju, tem groźniejszem staje się niebezpieczeństwo złośliwej gorączki nietylko dla białych, lecz i dla krajowców fatalnej. Bogu dzięki, prócz małoznaczących objawów u kilku naszych ludzi, nie mieliśmy w naszym obozie wypadków gorączki; niebezpieczeństwo jednak nie minęło, bo niemiła ta choroba objawia się nieraz dopiero w tydzień po opuszczeniu dżungli. Chinina stanowi jedyny, radykalny środek leczniczy i znakomite praeservativum.

Wogóle jednak ta część Cejlonu do niezdrowych należy. Z obawy gorączki myśliwi i podróżni trzymają się zawsze morskiego wybrzeża, a ludzkie osady tylko w bezpośredniej jego bliskości się znajdują. W głąb kraju, aż do granicy górzystych okolic, bezludzie kompletne. Wiele przyjemności w obozowem życiu zależy od mniej lub więcej praktycznego i wygodnego urządzenia sobie egzystencyi w ten sposób, aby o ile możności, na niczem nie zbywało. Co do nas, mamy z wyjątkiem braku drobnych szczegółików, jak refrygeratora i t. p. zbytków, tak pod względem doboru ludzi, jak i urządzeń, wszystko, czego tylko zapragnąć możemy.

Pozwolę sobie przy tej okazyi do ewentualnego użytku amatorów, wypowiedzieć zdanie, że wybierając się na podobną wyprawę, nigdy dosyć różnych rzeczy potrzebnych do wygodnego życia, zabrać z sobą nie można. Jedna lub dwie bryki wołowe i stosowna liczba kulisów, mniej lub więcej taboru zbyt nie zmieni, ani go nie przeciąży, a nigdzie zwyczajny komfort do codziennego życia należący, nie sprawia więcej przyjemności, niż w dżungli pod namiotem. Spartanizm chwalebny tam, gdzie go potrzeba, ale polowanie to przyjemność, nie obowiązek, i należy je sobie tak urządzić, by rzeczywiście przyjemność sprawiało. Zresztą zależy to wszystko od indywidualnych zapatrywań; powyżej wypowiedziałem tylko swą opinię osobistą, popartą przykładem Anglików, którym chyba braku hartu i wytrzymałości zarzucić nie można, nikt zaś więcej od nich nie kładzie wagi na wygodę i drobne przyjemności codziennego życia wszędzie i zawsze, gdzie się znajdują, o ile to naturalnie z głównym celem ekspedycyi połączyć się daje.

Nam zaczyna braknąć świec, cukru i herbaty, a co gorsza—ładunków do sztućców. Licząc na mniejszy ekspres, zdatny na wszelką zwierzynę prócz słoni i bawołów, tylko po 50 sztuk kul do każdego grubego kalibru zabrałem: tymczasem po stracie starej Lebedówki muszę do wszelakiej zwierzyny z ciężkiego ekspresu strzelać i pozostaje mi do niego tylko 35 ładunków, wprawdzie są w rezerwie kule do Colindianu.

Powyższa wzmianka o życiu obozowem naprowadza mię na temat kosztów. O ile w mych „Notatkach z Indyj“ wspominałem często o taniości życia na półwyspie Hindustańskim, i małych kosztach urządzenia tam ekspedycyi myśliwskiej, o tyle w zastosowaniu do Cejlonu tego samego zdania powtórzyć nie mogę. W Indyach jest się niemal zawsze i wszędzie proszonym gościem i wydatki dotyczące polowania, są albo żadne, prócz małych darowizn dla ludzi, albo redukują się po rozdziale na wszystkich uczestników do drobnych kosztów naganki, podwód i t. p.. Życie nic nie kosztuje.

Na Cejlonie jest się swym własnym panem i niezawodną, wielką przyjemność tej niezależności trzeba okupić dosyć znacznemi kosztami.

Całą wyprawę należy od A do Z samemu urządzić, zaopatrzyć, wyekwipować, nająć moc ludzi, bryk, wołów i t. p., a ceny do tanich bezwarunkowo nie należą. Najem robocizny względnie do roboty bywa nawet śmiesznie drogi. Nasze niepoczesne bryki wołowe kosztują po 2 rupie [1]) dziennie, prócz strawnego dla wołowników, czyli na same bryki wypada 14 rupij dziennie. Kucyki po 4 r. na dobę. Soult bierze 5 r. dziennie; każdy z kulisów, kucharzy, tropicieli, wypychaczów, stangretów i t. p. po 2 r. dziennie, a liczba ich—legion. Do kosztów wyprawy doliczyć trzeba zakupno prowizyi, trunków, wiktuałów dla kulisów, koniecznych przyborów i sprzętów kuchennych i t. p., co przy szalonej drożyźnie rzeczy europejskich na Cejlonie do poważnej cyfry dochodzi, nie licząc namiotu, który mamy darmo z łaski komisarza rządowego.

Wspominam tu o tem, bo może niejednego te szczegóły zainteresować potrafią.

Pod względem doboru ludzi, nie możemy na nikogo się uskarżać. Znać na wszystkich angielską tresurę akuratności i uczciwości, a choć wrodzone lenistwo i pewna miękkość w pracy Syngalezów, odpowiadająca zresztą kobiecemu ich wyglądowi, przedłuża niepotrzebnie każdą ich robotę, jednak wszystko zawsze i w swoim czasie, bez zbytniego napędzania, jest wykonane. Swoją drogą dziesięć rąk europejskich potrafi zrobić to, do czego mamy tu z górą trzydziestu ludzi. Do rozpięcia i ustawienia, ewentualnie zwinięcia namiotu, jest dwóch ludzi specyalnych, pomocników kucharza dwóch, do noszenia wody, rąbania drew, czyszczenia naczyń — po jednym człowieku, wypychaczów trzech, z których jeden, jakiś mieszaniec holenderski, prawdziwy artysta, uczeń słynnego Ward'a w Londynie; wreszcie zgraja wołowników, tragarzy, stangretów i t. p. Podział pracy na Cejlonie jest widoczny, choć nie tak ściśle, jak w Indyach, prowadzony.

Główny impresario naszej wyprawy, Soult, stanowi dziwny typ Syngaleza sportsmena, łączący w sobie zwykłą krajowcom miękkość i lenistwo z wrodzonemi zdolnościami do myślistwa, ujętemi w angielskiej tresurze w karby porządku i rutyny. Od dzieciństwa tłukąc się po dżungli z oficerami angielskimi, pierwotnie jako skromny kulis, noszący amunicyę, potem jako tropiciel i przewodnik, nabrał doświadczenia, poznał zwierza i jego kryjówki, i powoli wyrobił się na aranżera wypraw myśliwskich, najlepszego, jaki dziś jest na Cejlonie, przytem stara się być uczciwym,

[1]) Nominalna wartość rupii 2 fr.; obecnie nizko stoją.

i co najważniejsza, ma zamiłowanie do swego fachu. Prócz myślistwa, interesuje go historya naturalna; posiada nawet, dzięki jednemu z niemieckich profesorów, z którym podróżował, dosyć rozległe w tym względzie wiadomości. Trudni się ornitologią, umie nieźle wypychać, zbiera wszelakie owady,— mamy nawet z sobą w tym celu osobnego chłopca do łapania motyli i coleopterów.

Soult posiada chlubne świadectwa od wszystkich niemal cudzoziemców, którzy ostatniemi laty w myśliwskich celach Cejlon odwiedzali i którym wyprawy urządzał. Dumny jest ze swej zagranicznej klijenteli i najwięcej się szczyci świadectwem od arcyksięcia austryackiego Franciszka Ferdynanda, z którym w r. 1892 w okolicach Kandy polował i trzy słonie ubić mu dopomógł. Wogóle jest to człowiek do tego jedyny i nader przydatny. Ubiera się z angielska i myśliwska czapka pociesznie wygląda na syngalezkiej figurze kobiecej, której nigdy nie zmienia.

Dzień dzisiejszy, przeznaczony na odpoczynek, omal że się nie zakończył źle dla mnie i sprowadził niestety! nową katastrofę dla jednej z mych strzelb, najważniejszej z całego arsenału.

Wyszliśmy oboje z obozu wieczorkiem, więcej dla spaceru, niż na polowanie, ze zwykłą, liczną świtą kulisów, broń niosących. Byliśmy może o pół mili od obozu i skręcaliśmy z kołowej drogi do gąszczu, gdy idący ostatni kulis, od kucyka mej żony, krzyknął, że zoczył słonia, wchodzącego do gąszczu o kilkadziesiąt kroków opodal. Chwila zamieszania, zrywania strzelb, gorączkowe nabijanie, i—zostawiwszy żonę pod strażą starego Maulana i kilku Syngalezów, puściłem się z bijącem od emocyi, sercem w stronę, gdzie słoń wlazł do gąszczu.

Szedłem naprzód z grubym kalibrem, za mną Soult z ekspresem do zmiany, Ferek, Abanti i t. d. Nie doszliśmy do gęstwiny, a już łomot gałęzi zdradził obecność gruboskórców. Ujrzałem najprzód w gąszczu małego słonika, a za nim stał drugi nieduży, o kilka kroków dalej trzy grube sztuki. Wszystkie stały zadami ku mnie, klapiąc głośno uszami, zwrócone do małej kałuży, z której zamierzały widocznie pragnienie zaspokoić. Zbliżyłem się jeszcze o parę kroków i wyszedłszy na małą ścieżynkę, wybrałem największą i najbliżej ode mnie, en trois quarts stojącą sztukę, i celując za ucho, dałem ognia. Jak błyskawica zwrócił się kolos po strzale na miejscu, jakby go kula wcale nie dotknęła, i ze zwiniętą w górę trąbą, gwiżdżąc straszliwie, ruszył wprost na mnie.

Uprzedzono mnie, że ze słoniem, gdy trąbę zwinie do ataku, niema co żartować. Wytrzymałem go jeszcze parę kroków i *à bout portant* z lewki w łeb wypaliłem. Nie zapomnę w życiu wyglądu bestyi, a szczególniej złośliwego jej wzroku. Czy go w pośpiechu chybiłem, czy trafiłem za wysoko, dosyć, że pędem sunął ku mnie, jeszcze krok, a byłby mnie trąbą porwał.

W tejże sekundzie grzmot strzału i świst przelatującej mi nad uchem kuli, pozbawił mnie nadziei zapasowego sztućca na ratunek: Soult z niego wypalił. Nie miałem co dłużej czekać, cisnąłem strzelbę i wziąwszy nogi za pas, począłem zmykać, co mi sił starczyło. Słyszałem rwetes za sobą, moja świta pierzchnęła, jak stado spłoszonych kuropatw, gdzie kto mógł, ja zaś niefortunnie na czystą polankę się wybrałem, i skręcając za krzak, omal nie dostałem się pod wypadającego z gąszczu, drugiego, małego słonia, który za matką umykał. Długo mi to spotkanie w pamięci pozostanie: tak blizko był ode mnie, że się o korpus jego otarłem.

Tymczasem postrzelona, gruba sztuka, porzuciwszy mnie, rzuciła się na Soulta, który zdołał schronić się na drzewo, i dwukrotnie wściekle nań szarżowała. Soult do tego stopnia stracił głowę, że z drugiej lufy w powietrze wypalił i omal Fereka nie zabił, gdy ten w przeciwną stronę umykał.

Swoją drogą było się czego detonować, a najgorszy ten ryk piekielny, którego wrażeniu najtwardsze nerwy oprzeć się nie zdołają.

W rezultacie słonie, rozproszywszy naszą gromadkę, jako zwycięzcy, opuściły plac boju i cofnęły się do gąszczu.

Moja żona stała o 50 kroków i była świadkiem całej imprezy.

Najsmutniejszy jej skutek dopiero teraz stał się widoczny. Mój sztuciec, który w pośpiechu porzuciłem, dostał się pod nogi słonia, który nań stąpił, i strzelba pękła w rękojeści. Właśnie równo tydzień upłynął od wypadku z Lebedówką, ale dzisiejszy o wiele jest fatalniejszy, bo pozbawia mnie jedynej broni na słonie, jaką posiadam. Strzelba trzyma się wprawdzie śrubkami okucia, lecz drzewo przełamane, i jest obawa, że nie wytrzyma pierwszego strzału i silnego naboju prochu.

Soult mówi, że widział chwilę, gdy słoń goniący za mną, stąpił na strzelbę tylko krajem swej stopy olbrzymiej; dzięki temu i okoliczności, że grunt w tem miejscu był wilgotny, strzelba, wbijając się w ziemię, uniknęła kompletnego zmiażdżenia. Ex re tego wypadku Soult nam opowiada, że był świadkiem zdarzenia, jak postrzelony słoń, atakując człowieka, porwał sztuciec, wypadły z rąk myśliwego, i uniósłszy go w trąbie, o pierwsze drzewo go roztrzaskał. Niechybnie byłby ten sam los i moją strzelbę spotkał, gdyby ją był pod nogami zauważył.

Rozważając zimno całą przeprawę dzisiejszą, doszedłem do wniosku, iż popełniliśmy kilka grubych błędów z braku odpowiedniego doświadczenia. Primo: nie należy nigdy strzelać do słonia, stojąc na ścieżce, którą słoń przeszedł i prawdopodobnie odejdzie, i gdzie odrazu myśliwego spostrzega; trzeba zawsze starać się z boku go podejść i z gąszczu strzelać. Secundo: zawinił Soult, który mimo swych myśliwskich zdolności i doświadczenia, kompletnie traci głowę w gorących chwilach emocyi i strzelając przed siebie na chybi trafi, zamiast podać broń zapasową, staje się niebezpieczniejszym od słonia samego. Wreszcie: nie należy nigdy w krytycznej chwili odwrotu umykać na gołe miejsce, jak ja uczyniłem; wystarczy odskoczyć w bok i w gąszcz się wcisnąć, gdzie krótkowidzący słoń odrazu człowieka z oczu traci, a na pustem miejscu może go gonić i doścignąć.

Co do strzałów, zdaje się, że pierwsza ma kula, strzelona z tyłu za ucho, zgubiła się w fałdach skóry i tylko powierzchownie po czaszce się prześlizgnęła, nie penetrując do głębi; druga na sztych strzelona, trafiła za wysoko w czoło. Ludzie mówią, że widzieli wyraźnie znak farby na czole. Lecz co za siła olbrzymia w zwierzęciu, które otrzymawszy kule 8-go kalibru, wyparte sześciu drachmami prochu, na trzy kroki, nawet się nie zachwiało po strzale! Żałuję, że tu niema jednego z wielu t. zw. globe-trotterów lub turystów pseudo-sportsmańskiego zakroju, którzy po powrocie z Colombo, opowiadają i piszą, że polowanie na słonie to rzeź niewiniątek, wzbudzająca żal i litość. Nie tak to łatwy sport, jak się wydaje, a kto żądny wrażeń i emocyi, może przy spotkaniu oko w oko z postrzelonym słoniem zaznać ich więcej, niż za przyjemne uznać będzie w stanie.

Za pomocą mosiężnego drutu, szczęśliwie znalezionego między przyborami Soulta do wypychania ptaków, owinęliśmy złamaną kolbę i zespolili jak można było najlepiej. Z obawy, że strzału nie wytrzyma, posyłam dziś wieczorem posłańca do Hambantoty do p. Murray'a z prośbą o pożyczenie jakiego grubego kalibru, jeśli go posiada.

Istny feralis mam z bronią: jedynemu ekspresowi, który mi został, grozi niedostateczny zapas ładunków!

(C. d. n.)

Z Indyj i Cejlonu.

(*Dokończenie*).

Dwa półdzikie bawoły położyły się w wodzie i rozkoszują się chłodną kąpielą. Między nimi a bawołami, aligator może dwumetrowy, na 5 kroków od bawołów leży na piasku.

Strzelić niepodobna, bo mogę trafić bawołu! Obchodzę więc, by zajść z innej strony; aligator nie czeka i znika w wodzie. Idę zatem dalej brzegiem wody, wśród ciernistych krzewów. Znowu widzę aligatora, pełzającego do wody, a tuż za nim dwóch małych chłopaków, łapiących na wędkę ryby.

Znowu strzelić nie mogłem! Nawymyślałem chłopakom, że ich tu dya... przynieśli. Oni ze zdziwieniem oczy na mnie wytrzeszczają, dziwiąc się mowie nieznanej, i jeden z nich w tej chwili wyciąga dużą, białą rybę, która się tymczasem na wędkę złapała.

Idę dalej do owego półwyspu, pocąc się w słońcu tropikalnem. Podchodzę ostrożnie aligatory, dochodzę na jakie 100 kroków i strzelam do najbliższego. Chybiłem: zwierzęta, garbiąc się i wywijając ogonami, jak olbrzymie jamniki, wskakują do wody! Zły idę na kszyki, które, gdym podchodził aligatory, z pod nóg mi się wyrywały, i owemi 11 nabojami zabijam siedm. Następnie wracamy do domu, by nazajutrz znów bullockkartem w to samo miejsce wrócić.

Patrzę przez szkła, ów półwysep znów ugarnirowany śpiącemi aligatorami; znów mam kilkanaście tylko naboi śrótowych, a kszyki mi się z pod nóg wyrywają!

Postanowiłem doczekać południa, by aligatory dobrze wypoczęły, a tymczasem idę polować na kszyki. Idę z żoną i chłopakiem; zabijam 7 kszyków i małego orlika. Następnie sam podchodzę aligatory na półwyspie, skradam się jaknajciszej, ale przecie płoszę wszystkie. Zły, strzelam do jednego, pływającego na wodzie, widać mu łeb tylko: kula w to miejsce widocznie uderza, lecz on znika w wodzie. Myślę, że widocznie nie pisano mi dostać aligatora, trzeba wracać do zajazdu, tembardziej, że musimy o 2-ej odjechać pociągiem. Wracając, zabijam ostatnim nabojem kszyka i siadamy do bulockkartu. Jedziemy groblą z powrotem, w tem shikari woła: Master Koko! (koko to krokodyl).

Wylazę więc z wozu i skradam się do aligatora, podnoszę wizyer na 100 yardów, strzelam i zabijam go nareszcie na miejscu. Wyciągamy z wody, trafiony klasycznie przez szyję.

Pakujemy do wozu aligatora na przeszło dwa metry długości, dobry i tak! i wracamy do zajazdu.

Po drodze aligator, ku przerażeniu mojej żony, ożywa i zaczyna walić ogonem i kłapać zębami, wywracając wszystko w wozie. Zawołany shikari, wziął powróz i powiesił biednego aligatora tak, że ten z miejsca się już ruszyć nie mógł. Z godzinę rozbijał się jeszcze z wielką siłą, aż wreszcie zdechł.

Aligatory tu na Cejlonie mniejsze, niż w Indyach, i bardziej ostrożne. Owa strzelba „Paradoks" bardzo mi się podobała. Śrótem strzela doskonale, kulą, jak się do celu przekonałem, trochę dołowała, skoro podniosłem wizyer na 100 yardów, strzelała dobrze. Mojem zdaniem, doskonała to broń na galicyjskie polowania, w miejsce dryllingów, które przeciętnie przecie źle śrótem strzelają.

Czy może kto ma taką strzelbę w Galicyi, i jakie z nią porobił doświadczenia? Hr. Chase zabił tą strzelbą wielką ilość dzików, niedźwiedzi i 6 lampartów. Możeby „Łowiec" w tej kwestyi co napisał?

Wróciliśmy do Colombo, gdzie spotkaliśmy się z jednym, a potem z drugim naszym towarzyszem. J. S. nie doszedł do owych misyonarzy, stłukł sobie nogę i musiał z pół drogi zawrócić. S. S. za to przesiedział 8 dni w dżungli koło Rengarhi, u patrów Jezuitów i codziennie polował z naganką, zasiadał przy kozie nocami na tygrysa, ale zawsze daremnie. W końcu urządzili patrowie dwa wielkie polowania, na które zebrali około 200 naganki. Padło na tych polowaniach kilka jeleni-samburów, kilka antylop, ale nic z grubszej zwierzyny. S. S. przez całe to polowanie nawet się nie złożył.

Ostatniego dnia, w ostatnim miocie, kiedy naganiacze już tylko 200 — 300 kroków od strzelców byli oddaleni, wyszedł na mego kuzyna wspaniały tygrys. Na jakie 40 kroków S. S. strzelił do niego z ekspresa kalibru 577, tygrys ryknął i znikł w krzakach. Gdy naganka wyszła, poszedł S. S. z patrami i ludźmi za śladem tygrysa. Na miejscu strzału, śladu farby widać nie było, ale po kilkunastu krokach znaleźli trochę farby, następnie więcej, a o jakie 300 kroków od miejsca strzału leżała na skale ogromna bestya bez życia!

Z ostrożności strzelił jej S. S. raz jeszcze za ucho, lecz tygrys już nie żył. Tygrys mierzył od pyska do końca ogona 9 stóp i 9 cali! Ważył zaś 300 kilogramów. Był to wielki, młody samiec, o przepysznem futrze, które będzie wkrótce wspaniałą ozdobą zbiorów mojego kuzyna.

Kula tak wielkiego kalibru trafiła tygrysa w komorę, przebiła płuca i ekspandowała. Kawał kuli przeszył serce, a płuca i wątroba były rozbite na miazgę. Mimo tego, tygrys uszedł jeszcze około 300 kroków! Jak się pokazało, zjadł on w nocy małego dzika, resztki tegoż znalazła naganka w miocie, a jedną racicę znaleziono przy obieleniu w żołądku, na pół strawioną.

Po tej uczcie, spał sobie spokojnie w krzakach i wypadł w ostatniej chwili na mego kuzyna.

Przy obielaniu tygrysa znaleziono też pod skórą, pod pachami 6 czy 7 końców jeżozwierza, które tkwiły w mięśniach zwierzęcia. Widocznie upolował on niegdyś jeżozwierza, na którego mięso i ludzie są bardzo łakomi, i musiał sobie szpilki w ciało wpakować, a pozostałe, ułamane końce szpilek zarosły w mięśniach, nie sprawiając tygrysowi żadnych dolegliwości. W dzisiejszych czasach coraz to trudniej spotkać się z tygrysem w Indyach. Można porównać ilość pozostałych, do ilości niedźwiedzi w Galicyi. Są jeszcze dystrykty, w których tygrysów więcej, ale znajdują się one, albo w niedostępnych moczarach w delcie Gangesu, lub w odległych stronach Burmy, w Himalajach i wreszcie w stronach, gdzie mój kuzyn polował. Słyszałem nieraz o myśliwskich ekspedycyach, szykowanych ad hoc, które tygodniami w dżungli przesiadywały, a tygrysa nikt z uczestników nie spotkał. Poznałem jednak króla indyjskich myśliwych, pana Invezarite, w Bombaju, który sam z górą 80 tygrysów ubił, a oprócz tego kilka lwów indyjskich. Zabił on tę zwierzynę w przeciągu jakich 25 lat, a powodzenie jego jest ogólnie znane w całej Anglii. Tem większe miał szczęście mój kuzyn, że w tak krótkim czasie i prawie bez kosztów, ubił tego króla dżungli indyjskiej!

Na zakończenie naszego pobytu w Indyach, postanowiliśmy z J. S. zapolować przez tydzień na słonie, lamparty, bizony etc. w Cejlonie.

Dostaliśmy strzelby i zgodzili shikarisa na tę wyprawę. Mój kuzyn poszedł w dżunglę i po pięciu dniach wrócił zdrów, zabiwszy pięknego bizona, ja, niestety, poszedłem, ale do szpitala, gdziem przez 14 dni pasował się z egipską febrą, czy influencyą, której się nabawiłem na owem polowaniu w niezdrowej Anuradhapurze.

Oj ta febra, niejednemu Europejczykowi cały pobyt w tropikalnych sferach popsuła, a niejednego też i na zawsze tam zatrzymała! Dziś mi już lepiej, ale bardzo osłabiony, wracając do domu, kończę tę

korespondencyę na oceanie Indyjskim, d. 7 kwietnia 1906 roku.

O. P.

Zwierzęta militarne.

We Francyi prawie każdy pułk posiada swego psa. Takiego psa pułkowego widzieć można, gdy, poprzedzając swój regiment, będący w marszu, wyskakuje radośnie przed kapralem.

W Rosyi i w Niemczech również wiele pułków posiada psy. Anglia jednak wyróżnia się w tym względzie z pośród wszystkich narodów, zwierzęta bowiem posiadane przez jej pułki, przedstawiają wielką rozmaitość, a znaczna z nich liczba pochodzi z darów królewskich.

W taki to sposób pułk strzelców, Royal Welsh Fusilieres, posiadał kozła, który na głowie między rogami nosił blaszkę z wyrytym na niej numerem pułku i herbem państwa.

Królowa Wiktorya ofiarowała niegdyś jelenia highlander'om pułku Scaford'a. Innym razem darowała kozła highlander'om z Sutherland'u i po białej sarnie każdemu z trzech batalionów pułku walijskiego. Jednej z tych sarn sądzonem było zostać sławną. Oto pewnego pięknego poranku przyszło jej do głowy wpaść rogami na pułkownika i rozciągnąć go na ziemi w chwili, gdy ten wsiadał na konia, aby dopełnić przeglądu wojska, tuż wokoło zgromadzonego.

21-szy pułk strzelców szkockich posiadał przez długi czas jelenia bardzo złego; był postrachem psów i chłopców ulicznych.

Pewien pułk huzarów posiadał wspaniałego niedźwiedzia czarnego, którego jednak, gdy mu raz przyszła chętka rozszarpać żołnierza, sąd polowy skazał za usiłowane zabójstwo na rozstrzelanie.

Pewien pułk strzelców przywiózł z sobą z Indyj tygrysicę. Jako młode kocię, stanowiła prawdziwą uciechę żołnierzy, lecz potem musiano ją trzymać na łańcuchu.

Niektóre psy, okryte sławą wojskową, zapisane są w rocznikach militarnych Wielkiej Brytanii. I tak: „Jack", piesek boloński, uratował żołnierza swego pułku w bitwie pod Almą, oraz rzucił kilku żołnierzy nieprzyjacielskich do wody w bitwie pod Inkermannem; dostał za to order Wiktoryi i medal za wojnę krymską. „Bob", który odbył bohaterską kampanię do Afganistanu i był raniony pod Maivand, po powrocie z wojny dostąpił tego zaszczytu, iż mu królowa Wiktorya własnoręcznie przypięła medal wojskowy. „Finy" dostał medal za Egipt. „Jessy", pies 4-go pułku huzarów, dostał także medal, a nadto inną, wprawdzie skromniejszą, ale za to mniej pospolitą nagrodę, a mianowicie: mieszkańcy Dublina ofiarowali mu medal i zaprosili na smaczny obiad!

Koń lorda Roberts'a, dowodzącego siłami angielskiemi w Transwalu, jest kawalerem orderu Caboul. Królowa Wiktorya udekorowała go własnoręcznie za piękne sprawowanie podczas wojny w Afganistanie.

Jeden z pułków niemieckich gwardyi cesarskiej posiada wronę, doskonale wytresowaną, która z komiczną powagą towarzyszy pułkowi na wszystkich manewrach; nie spuszczając z oka żołnierzy, defiluje ona krok w krok za pułkiem. Bardzo interesująca fotografia przedstawia ową wronę, defilującą przed Wilhelmem II-gim i jego sztabem. Z głową do góry, maszeruje, nie racząc zaszczycić spojrzeniem swego suwerena, który pochylił się z konia, aby ją pozdrowić.

W wojnie rosyjsko-japońskiej nie obeszło się bez bohaterskiego psa. Buldog pochodzenia angielskiego „Kusaj", odznaczył się w bitwie pod Czemulpo, gdzie był na pokładzie okrętu „Wariag". Lizał tam rany marynarzy, a za swoje usługi musiał prawem uchem zapłacić, które mu jeden z celnych pocisków japońskich oderwał. Obecnie, wraz z załogą zatopionego okrętu, powrócił z Dalekiego Wschodu do Petersburga, gdzie od dam otrzymał trzy obroże srebrne i około 25 obroży z tańszego metalu od swych zamożnych wielbicielek; jedna z pań ofiarowała mu nawet cztery trzewiczki włóczkowe.

Korespondencye „Łowca Polskiego".

Z Wołynia - Podola, *we wrześniu.*

Otrzymawszy, wraz z dwoma mymi synami, od grona myśliwych ze starokonstantynowskiego powiatu, dzierżawiących polowanie w lasach rządowych na blizkiem Podolu — zaproszenie na polowanie, mające się odbyć w d. 31 sierpnia, 1 i 2 września (st. st.) na wilki, przyjąłem je naturalnie z wielkim aplauzem, tem więcej, że w ciągu dwóch lat uprzednich zabito tam kilkanaście tych szkodników. Wyjazd naznaczony był na godzinę 8-ą rano ze Starego Konstantynowa w d. 31 sierpnia i tegoż już dnia zamierzaliśmy stanąć o 11-ej przed południem we wsi Wołosowce, by z zamówioną obławą, w liczbie 200 ludzi, zapolować do godziny 4-ej, a na następne dwa dni — dojechać do Parchomowiec.

Stało się jednak inaczej, i w danym razie dałoby się zastosować przysłowie: „Człowiek projektuje, a Pan Bóg dysponuje". Otóż w d. 31 sierpnia od samego rana począł padać deszcz ulewny, skutkiem czego, zamiast 24 oczekiwanych myśliwych, zjechało się zaledwie 12-tu, i to jeden przybył bez fuzyi, w przypuszczeniu, że z polowania nic nie będzie, i możeby tak było, gdyby tu nie chodziło o wilki, a że wilk dla myśliwych zawsze jest ponętny, więc pomimo że niektórzy, zamiast o 8-ej rano, stawili się po 10-ej, odbyto naradę i zapadła decyzya, aby jechać, boć przecie deszcz ustać musi, ale już nie do Wołosowiec, lecz do Parchomowiec, choćby na jeden dzień tylko, drugiego zaś dnia zapolować w Wołosowcach, 18 wiorst od Parchomowiec odległych. Jak postanowiono, tak i wykonano; wyruszyliśmy o g. 1-ej z południa w drogę, ale przez całą podróż, nietylko że deszcz lał, jak z cebra, lecz grzmoty i pioruny towarzyszyły nam do celu podróży. Po przybyciu już prawie o zmroku do Parchomowiec, rozlokowaliśmy się wygodnie w chatach włościańskich, bo trzeba dodać, że w wielu chatach są oddzielne, nie powiem już izby, ale prawdziwe pokoiki, bardzo schludnie urządzone i utrzymane; następnie zeszliśmy się razem do jednej z takich chat, jak dla spożycia kolacyi, tak i dla ułożenia planu na dzień następny. Zebraniu naszemu wciąż towarzyszył deszcz z gromami, ale jak to między braćmi-myśliwymi — było wesoło, bo nie mogło być inaczej, gdy nam gospodarzył pan Apollon Łoziński z Chiżnik, który o wszystkiem pomyślał. Wesołość jednak cokolwiek się zmieniła, gdy od miejscowych pobereżników dowiedzieliśmy się, że w lasach parchomowieckich w r. b. gniazdowych wilków niema (w r. z. zabito tam 6 sztuk, a jednego tylko psa — może to był powód), a są tylko 4 stare wilki, które się po lesie włóczą, ale stale jednego miejsca się nie trzymają. Pocieszono nas jednak tem, że w Wołosowcach są pewne trzy gniazda. A więc narada, zdania się dzielą, jedni chcą na miejscu już polować, ale większość postawiła wniosek, że jeśli rano będzie pogoda — jechać do Wołosowiec, a jak nie — choćby i deszcz, polować w miejscowych lasach. Rano deszcz ustał, ale mgła była wielka, gdy jednak około godziny 8-ej słońce się pokazało, odezwały się trąbki, wysłano do Wołosowiec konnego, by szykował tam obławę, i około 9-ej ruszyliśmy w drogę. Pogoda dopisała, i przybywszy, na miejscu zastaliśmy około 200 ludzi obławy, na nas czekających. W pół godziny stoimy już na stanowiskach i obława ruszyła. Wilki rzeczywiście były, ale rezultat polowania nie wypadł świetnie, gdyż dwa tylko padły, a mianowicie jeden z ręki p. Józefa Stankiewicza z Futorów, a drugi z ręki syna mego, Stanisława. Prócz tego

strzelano jeszcze do 4-ch wilków i jednego z nich raniono, a 4 duże wyniosły się bokiem linii strzelców.

Powód nieudania się łowów leżał głównie w tem, że dwa tylko bruno mioty na wilki, a do obstawienia kniei potrzeba było conajmniej 20 fuzyj, nas zaś było tylko 12-stu, prócz tego linia, zwłaszcza w pierwszym miocie, na której stali myśliwi, była zbyt wązka, a gąszcze ogromne. Tak więc, z projektowanych 3-ch dni polowania, skończyliśmy na jednym. Grono jednak myśliwych, dzierżawiących polowanie, zamierza powtórzyć jeszcze owe łowy, — oby im znów co nie przeszkodziło!

Lasy Parchomowieckie i Wołosowieckie należały niegdyś do dóbr Międzyrzeckich książąt Czartoryskich, a po konfiskacie majątków, lasy przeszły na własność rządu, a ziemie folwarczne rozdano włościanom. Włościanie, pochodzący z dawnej epoki, mają piękne sadyby, a piękniejsze jeszcze sady owocowe, założone przez książąt, ziemi posiadają sporo i dobrej, a że jest blizko las, łąki i wody, zdawałoby się, że im nic do szczęścia nie potrzeba, tymczasem, w rozmowach, narzekają bardzo, ze w okolicy niema folwarków, a co zatem idzie, brak zarobków, i z żalem wspominają czasy, opowiadane przez ich ojców, gdzie było dużo przy dworach zarobków i lud o wiele stał lepiej materyalnie. Wartoby tam posłać tych włościan, co tak czyhają na rozdział między nich większych posiadłości, a przekonaliby się od swych braci, że nie ilość ziemi, lecz zarobki po dworach, są główną podstawą bytu wszystkich włościan wogóle

Artur Śliwiński.

Antoniny (gub. wołyńska), *we wrześniu.*

W przejeździe z Antonin do nowo założonej bażantarni w Heleninie, zauważyłem jakiegoś niezwykłego ptaka, wielkości jastrzębia-kuropatwiarza, który, zerwawszy się z oranej roli, szybko przeszybował mi nizko nad głową, poczem zawrócił i szybowanie to powtórzył parę razy. Mając przy sobie nieodłączną przy wyjazdach strzelbę, dałem do owego ptaka strzał, po którym upadł na rolę. Zdawało mi się, że jest to rodzaj jakiegoś nieznanego tu jastrzębia, gdyż i lot i całkiem ciemno-szare upierzenie tak wskazywały. Niemało więc zostałem zdziwiony, gdy mi furman przyniósł ptaka, jakiego nigdym jeszcze nie widział, a zdziwienie moje jeszcze więcej wzrosło, gdy zamiast oczekiwanych szponów, zobaczyłem płetwy, jak u kaczki. Po powrocie do domu, okaz ten przedstawiłem Józefowi hr. Potockiemu, znanemu ornitologowi, i otrzymałem wyjaśnienie, że musi to być ptak, w rodzaju mewy morskiej, północnej, ale u nas nieznanej.

Jako więc coś niezwykłego, posłaliśmy owego ptaka do wypchania w Kijowie i stamtąd otrzymaliśmy wiadomość, że ptakiem tym jest rodzaj „Wydrzyka" (*Lestris L.*), należący w gromadzie ptaków do rzędu 8-opłetwowych (*Natatores* (*Illigera*) *Auseres* (*Linneusza*) *Palmiredes* (*Cuviera*), dzielących się na pięć plemion. Do trzeciego plemienia (*Longipures*) należy rodzina mewy (*Laridae*), w której właśnie, jako jeden z rodzajów, mieści się i w mowie będący wydrzyk.

Przytem nadmieniono nam jeszcze, że wydrzyki są bardzo żarłoczne, pokarm zdobywają głównie tym sposobem, że rybołówkom (rybitwa *Sterna L.*) i mewom, odbierają ryby złowione. Gdy łupiestwem nie mogą zdobyć dostatecznej ilości pokarmu, a są bardzo żarłoczne, wyjadają z gniazd jajka i pisklęta, rzucają się na padlinę, a nawet udają się na pola za owadami i robakami. Wydrzyki mieszkają na dalekiej północy, trzymając się samotnie, zalatują czasem i w głąb lądów.

Artur Śliwiński.

Równo (gub. wołyńska), *we wrześniu.*

W mińskiej gub., majątku Łunin, Fr. ks. Druckiego-Lubeckiego, dorocznym zwyczajem polowano podczas rykowiska na łosie pomiędzy 22 a 26 sierpnia w specyalnych rewirach nad Prypecią. Łosi zabito wtedy wogóle 4 sztuki, z których dziesiątaka zabił p. K. Załęski, szóstaka A. hr. Ilinski-Kaszowski, szóstaka A. hr. Stecki; jeden szpiczak, strzelany przez jednego z uczestników polowania, był następnie dobity przez straż leśną. W dzień zajmowano w innych rewirach ostępy przeważnie na dziki, których padło trzy sztuki. Wogóle w tym roku zawcześnie rozpoczęto polowanie, co wpłynęło ujemnie na jego rezultat. Łosie nie skoncentrowały się jeszcze w ulubionych swych rewirach, a szeroko chodziły po dużej przestrzeni.

Nie mogę nie zanotować tu faktu, który mnie silnie zaintrygował. Podczas pędzenia nadzwyczaj gęstego ostępu na dziki, na stanowisku, gdzie można się było spodziewać tylko dzika lub łosia, widziałem przebiegającego, niezwykłej wielkości, cervida, bez rogów (przypuszczam łanię). Że nie była to sarna, tego jestem pewny, zanadto bowiem dużo polowałem na nie, abym mógł jej nie poznać. Miałem ją na muszce na 35 kroków, do boku, przez kilka sekund, co aż nadto wystarcza do dobrego obejrzenia zwierza. Była, na oko, półtora raza większa od dużej sarny, szerść płowa, bez centek, talerza nie mogłem zobaczyć, coby mi ostatecznie wyjaśniło, czy dany egzemplarz był łanią. Pozostaje zatem pytanie, skąd to zwierzę przywędrowało, kiedy najbliższa miejscowość, gdzie się jelenie znajdują, Białowieska Puszcza, jest bardzo oddalona od tej miejscowości Pińszczyzny, gdzie ten fakt miał miejsce.

A. Z.

Dla szkół naszej Macierzy.

Pani Stefania Woyde, inicyatorka projektu zakładania muzeów podręcznych przy szkołach naszej Macierzy szkolnej, zwróciła się do naszego Towarzystwa łowieckiego z prośbą, aby jego członkowie, jako myśliwi, obznajmieni przecież dobrze z fauną krajową, wzięli czynny udział w tworzeniu tych muzeów. Idzie tu o dostarczenie szkołom wypchanych okazów naszej fauny użytkowej i szkodnej, aby dzieci od najmłodszych lat poglądowo mogły zapoznać się z mieszkańcami naszych pól i lasów.

O pożytku nauki poglądowej nie potrzeba się chyba rozwodzić. Jedyny to sposób należytego przyswojenia początkowej wiedzy dla młodocianych umysłów. Ułatwić dziatwie mozolną pracę szkolną—cel to pożyteczny i nad wyraz sympatyczny, i nie wątpimy, że znajdzie sympatyczny oddźwięk w umysłach wszystkich myśliwych. Nie idzie tu o tworzenie jakichś bardzo subtelnie kolekcyonowanych gabinetów zoologicznych lub ornitologicznych, ale o dostarczenie okazów, spotykanych codziennie. Zające, kuropatwa, lis, wiewiórka, sójka, pustułka, czy kuropatwiarz — wszystko to są dla dzieci przedmioty nieznane, którym, gdy się własnemi oczyma przypatrzą, nauczą się więcej, aniżeli wbijając sobie w swoje małe główki całe stronice drukowanej zoologii

Naturalnie, okazy te muszą być wypchane, aby do dłuższego użytku dziatwie i szkole służyć mogły. I owo wypychanie stanowi szkopuł do przezwyciężenia dość trudny, najpierw ze względu na koszt, jak i na kłopot, jaki to za sobą pociąga, bowiem nasi panowie wypychacze ogromnie marudzą z wykonaniem każdej roboty i każą wyczekiwać całemi miesiącami na wypchanie ladajakiego ptaszka.

Jeśli nasze Towarzystwo chciałoby skutecznie przyjść z pomocą projektodawczyni muzeów, *respective* szkołom naszej Macierzy, zaproponowalibyśmy następującą manipulacyę. Wybrać jednego z pomiędzy wypychaczów na specyalnego dostawcę Towarzystwa, uzyskać od niego specyalną zniżkę ceny za wypychanie zwierząt i ptaków, dostarczonych przez Towarzystwo, przeznaczyć na ten cel parę lub kilkaset rubli rocznie, a w krótkim czasie skutek będzie niewątpliwy. Na każdem polowaniu zbiorowem, oprócz użytkowej zwierzyny, pada kilka lub kilkanaście ptaków: jastrzębi, sów i t. p., które, nadesłane do Towarzystwa i należycie wypchane, nadawałyby się właśnie do takich podręcznych muzeów szkolnych, a obe-

cnie rzuca się te okazy bezużytecznie na śmieci. Służba leśna, bijąca drapieżniki dla strzałowego, również jest w możności dostarczania bardzo licznych i ciekawych nieraz egzemplarzy.

Rzucamy tu projekt, który narazie nie mógłby wejść w wykonanie, Rada Towarzystwa bowiem nie posiada na ten cel specyalnego funduszu i mogłaby go wyjednać dopiero na Ogólnem Zebraniu i do budżetu wprowadzić. Zanim to jednak nastąpićby mogło, sprawa polega na ofiarności pp. Członków, którzy mogliby zapoczątkować owe muzea, dając ze swoich gotowych kolekcyj niepotrzebne duplikaty, lub też na koszt własny wypchane, nowe okazy z ich własnych polowań.

Sprawę tę jaknajgoręcej polecamy pp. myśliwym.

Z.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Na posiedzeniu Delegacyi Wyborczej w d. 22 października następujący kandydaci wybrani zostali w poczet Członków Oddziału: pp. Waliszewski Edmund z Warszawy, Sławęcki Feliks z Warszawy, Żukow Piotr z Warszawy, Pękosławski Jan z Warszawy, Znatowicz Stanisław z Warszawy, Januszewski Andrzej z Warszawy, Janowski Władysław z Warszawy, Jankowski Edward z Rudy Maleniechiej, Rudowski Ignacy z Krępy, Makowski Władysław z Wyczyny, Majewski Władysław ze Skierniewic, Wołyński Julian z Warszawy, Perzanowski Wacław z Warszawy, Kucharski Aleksander z Warszawy.

Posiedzenie Rady, 17 października. P. gubernator kieleckiej gub. nadesłał wykaz broni, odebranej posiadaczom nielegalnym przez straż ziemską w 1905 r. Wykaz obejmuje 233 sztuki broni myśliwskiej. Rada postanowiła przesłać na ręce p. gubernatora 120 rb. na nagrodę dla straży ziemskiej.

P. gubernator lubelski wydał bilety bezpłatne na prawo utrzymywania brrni dla stróżów przy miejscach ochronnych w Kozłówce. w pow. hrubieszowskim.

Posiedzenie Rady, 24 października. P. Stefania Woyde zwróciła się do Rady z prośbą o poparcie jej projektu utworzenia przy szkołach Macierzy szkolnej podręcznych muzeów. W przedmiocie tym piszemy na innem miejscu obszerniej. Tu zaznaczymy tylko, że projekt p. W. znalazł najżywsze uznanie w Radzie, która postanowiła prosić pp. Członków o dostarczenie p. W. odpowiednich okazów, o czem ogłoszenie wywieszone zostanie w lokalu naszego Towarzystwa.

Drobiazgi myśliwskie.

Zwierzyna do Peterhofu. W d. 20 października wieczorowym pociągiem wyprawiono z Warszawy do Peterhofu 350 sztuk żywych kuropatw, które będą puszczone podczas polowań w Peterhofie. Kuropatwy te pochodzą ze Skierniewic, gdzie je specyalnie w tym celu złowiono. Podobno w r. b. ma być wysłanych do Peterhofu jeszcze kilka partyj zwierzyny.

Gajowi bez broni. W niektórych leśnictwach skarbowych w Królestwie Polskiem, gajowi zostali pozbawieni broni palnej. Ta ostatnia, na rozkaz władzy wojennej, została złożoną w urzędach leśnych.

Rozstrzelanie kłusownika. W d. 16 października o g. 7-ej zrana rozstrzelano w Częstochowie Marka Banasiaka, liczącego lat 21, za zabójstwo rządcy Śniecińskiego w lesie, podczas przyłapania przezeń Banasiaka na kłusownictwie.

Protest fabrykantów broni. Właściciele fabryk broni w Birminghamie zaprotestowali przeciwko rozporządzeniu rządu angielskiego, zabraniającemu wywozu broni do Indyj. Rozporządzenie to dotyczy także broni myśliwskiej.

Napad jelenia. W górach Olbrzymich, pomiędzy Czechami a Szlązkiem, napadł jeleń na ogrodnika Respondeka, którego bodził tak zapalczywie rogami, że byłby go zabił, gdyby nie pomoc syna i kilku robotników. Odpędzili oni napastnika, lecz życiu ogrodnika zagraża niebezpieczeństwo.

Wynalazca rewolweru. W Lancaster (Pensylwania) zmarł niedawno człowiek, który w dziedzinie broni dokonał przewrotu, mianowicie Józef Shirk, wynalazca rewolweru. Shirk był przed pięćdziesięciu laty czeladnikiem w warsztatach mechanicznych i wówczas zwrócił uwagę swoją na braki pistoletu, jedynej w owym czasie, wygodnej do noszenia broni palnej. Była to broń równie droga, jak niebezpieczna dla tego, kto ją nosił. Shirk zajął się tedy konstrukcyą broni wygodniejszej, praktyczniejszej i skuteczniejszej. Rezultatem tej pracy Shirka był rewolwer, który od tąd, ulepszany ciągle, podbił cały świat. Swoją drogą wynalazca rewolweru zmarł w biedzie, podczas gdy następcy jego, autorowie systemów ulepszonych, porobili majątki. Shirk podzielił los wielu wynalazców.

Koncert we lwiej klatce. Działo się to w Królewcu. Koncertująca w kawiarni teatru „Apollo" orkiestra, złożona z czterech muzykantów, założyła się, że odegra jeden numer koncertowy w lwiej klatce przed 16 lwami, naturalnie pod przewodnictwem pogromcy, Karola Prinza, który w pomienionym teatrze lwy swoje prezentował. W dniu oznaczonym na ten ciekawy koncert, wszystkie miejsca były wyprzedane na kilka godzin przed rozpoczęciem widowiska. Odważni muzykanci odegrali we lwiej klatce marsza wiedeńskiego, poczem wyszli nietknięci, nagrodzeni burzą oklasków. Naturalnie Prinz dał przedtem lwom swoim tak sute śniadanie, że im się ruszać nie chciało. Niewiadomo jednak, czy nie za wiele fałszów było w tym koncercie.

Przepiórki nad Renem. „Koeln. Ztg." pisze: Od wielu już lat narzekają na ubywanie przepiórek (*Coturnix communis*) nad Renem. Wszakże od czasu suszy w r. 1904 przepiórki zaczęły się mnożyć znakomicie. W r. 1905 ubijano już w rewirach 1,000-morgowych po 40 sztuk. Przyczyna powiększenia się liczby nie jest znana. Przypuszczają, że dzieje się tak z powodu wzrastania stad hodowlanych bydła, a tem samem zwiększenia się obszarów, zasianych w tym celu trawą i koniczyną, które stanowią zarazem wyborne żerowisko i osłonę dla przepiórek. W pewnym rewirze zostawiono umyślnie nieskoszone łany zboża, żeby służyły za schronisko bażantom i kuropatwom przez zimę. Gdy te się tu osiedliły, zaczęły napływać w maju także przepiórki, które tu wysiadywały jaja. Na polach były wtedy: groch, wyka, powój, rzepak, mak, koci pysk, krowia pszenica, gwiazdownica, sporek rolowy i inne gatunki roślin, a śród nich roje chrabąszczy, szarańczy, szczypawek, mrówek, much, komarów, pająków, gąsieniczek i t. d. Słowem istny raj, wymarzone żerowisko dla przepiórek, które też mnożyły się nadspodziewanie dobrze.

Psie miasto. Podług angielskiego pisma „Tribune" najobfitszem w psy („*doggiest*") miastem w Anglii jest Haverfordwest. Jest tu tylko 6,000 mieszkańców, którzy opłacili podatek za przeszło 6,000 psów, a oprócz tego istnieje jeszcze znaczna liczba psów, wolnych od podatku. Na ulicach spotyka się więcej psów, niż ludzi. Handlarze psów wychowują tutaj

i układają zarówno do roboty, jak i na wystawę, terriery, pointery, settery i spaniele. Ceny dochodzą do 2.000, a nawet do 2,500 rb. za jeden egzemplarz. Najtańsze psy kosztują tu zwykle 600, 700 lub 800 rubli.

Towarzystwo ornitologiczne. Niedawno odbyło się we Wrocławiu ogólne zebranie roczne niemieckiego Towarzystwa ornitologicznego. Pierwszy referat odczytał prof. dr. Reichenow z Berlina o czynności obserwatoryum ptasiego w Rossiten. Następnie mówił przewodniczący, prof. dr. Blasius, na temat: czy ptaki wędrowne wracają do miejsca, gdzie się urodziły? O faunie ptasiej Azyi środkowej mówił p. Schalow. Na drugiem posiedzeniu tegoż dnia mówił p. Kollibay o współczesnym stanie fauny ptasiej na Szlązku, zwracając uwagę na gatunki, przebywające wyłącznie w górach szlązkich, oraz na rzadkie gatunki na równinach. Szlązk posiada 317 gatunków ptaków. Prof. dr. Matschie referował o różnorodności jednakowych gatunków w różnych okolicach Niemiec. Na zakończenie mówiono o prawie ochronnem co do ptaków.

Zwierzostan we Francyi. Francuski klub „St. Hubert" czyni energiczne zabiegi około polepszenia zwierzostanu we Francyi. Ponieważ we Francyi prowadzi się polowanie bardzo rabunkowe przez niezliczoną moc wyrafinowanych kłusowników, przeto kraj będzie niezadługo ogołocony ze zwierzyny. Przedewszystkiem członkowie klubu chcą zebrać statystyczne dane, wykazujące, ile zwierzyny i jakiego rodzaju, oraz gatunku znajduje się w poszczególnych prowincyach i okręgach. Spisy takie mają być wywieszone w rewirach myśliwskich przez urzędy państwowe i gminne z przypomnieniem i prośbą, aby myśliwi polowali oględnie. Dalej zamierzono przedsiębrać środki, celem powiększenia hodowli zwierzyny w parkach.

Białe kuropatwy. Pod Lipskiem w czasie koszenia łąki znaleziono gniazdo kuropatwiane z jajami, które podłożono kurze domowej do wysiadywania. Z jaj tych wylęgły się 4 kuropatwy, które mają już po 2 miesiące. Upierzenie ich przypomina barwę kremu białego, cieki są żółte, oczy orzechowo brunatne. Właściciel ich chce łączyć je w parach, gdy podrosną, by się przekonać, jakie będzie potomstwo.

Archeolog-myśliwy. Uczony angielski, archeolog, profesor Waldstein, cieszy się wielką sympatyą i specyalnem poparciem cesarza Wilhelma II. Uczony lubi bardzo polowanie *par-force* na lisy i jeździ doskonale konno. Te zalety zwróciły nań właśnie uwagę cesarza, który zaprosiwszy go niedawno na dworski obiad po polowaniu, odezwał się doń: — Jesteś pan profesorem jeżdżcem i myśliwym (*Ein jagdreisender Professor*), — chciałbym bardzo, żeby wszyscy profesorowie w mem państwie byli do pana podobni!

Zanik jaskółek. Systematyczne obliczenia, przeprowadzane jesienią podczas odlotu ptaków na południe, wykazują, że ilość jaskółek zmniejsza się z roku na rok. Dr. Gägler przypisuje ten fakt dwom głównie przyczynom. Z jednej strony nikną coraz bardziej miasta niebrukowane, zwłaszcza małe i średnie, a w brukowanych jaskółka trudno bardzo znajduje warunki, do życia konieczne, potrzebuje ona bowiem do swego gniazda wilgotnej ziemi ulicznej, z której można je z łatwością ulepić. Takiego materyału budowlanego niema wszakże w miastach brukowanych. Nadto zaś utrudnia życie jaskółce zmieniony sposób uprawy roli, gdyż poczwarki owadów, które stanowią jej pokarm, nie są w ziemi obecnie tak obfite, jak dawniej, gdy pola często przez długie lata leżały odłogiem. Zmiana tych warunków ekonomicznych jest powodem zmniejszania się liczby jaskółek.

Mowa papugi. Nauczyć mówić papugę jest męczącem zadaniem. Pewna Amerykanka wpadła na szczęśliwy pomysł użycia w tym celu fonografu. Nabija instrument wyrazami i zdaniami, których chce nauczyć papugę, puszcza w ruch i ucieka z pokoju. Zaciekłość tego potwora z miedzianym gardzielem działa pobudzająco na papugę, która usiłuje przekrzyczeć współzawodnika, i uczy się daleko prędzej, niż słuchając ludzkiego głosu.

Dowód wścieklizny. — Panie doktorze, przyprowadziłem mojego pieska, podejrzewam, że musi być wściekły.
— Z czego pan to wnosi?
— Pokąsał wczoraj moją teściową.
— No, to jeszcze nie dowód wścieklizny.
— Ja wiem, on też był zdrów, ale teraz się na pewno wścieknie. Pan chyba nie zna tej baby.

* * *

Myślący myśliwy. — Pan dobrodziej to musi być myśliwy?
— A to po czem pan poznał?
— Bo pan ma taką myślącą twarz.

* * *

Bezpartyjny myśliwy. — Alfred chwali się, że jest ściśle bezstronny?...
— I ma słuszność. Polowałem z nim i przekonałem się, że mu wszystko jedno kogo trafi: zająca, psa, czy towarzysza.

* * *

W ogrodzie zoologicznym. Dziadek: — Nie bój się Waciu! Ten tygrys tak się rzuca i ryczy, bo zaraz ma jeść dostać.
Wnuczek: — Nie boję się, dziadziu, tatuś przecież zawsze przed obiadem to samo robi.

PRZYSŁOWIA MYŚLIWSKIE.

Zebrał z „Księgi Przysłów" J. O. (*C. d.*).

Ogar

1. Chart jest pokorny, ogar łakomy, wyżeł zwadliwy.
2. Z rusznicą na wiosnę, z sokoły w lecie, z ogary w jesieni, z tarcgi w zimie: myślistwa najlepiej użyć.
3. Pewny, by Turski z ogary, a Szołnarowski z karaśmi.
4. Umyka, jako zając przed ogary.
5. Wietrzy nakształt ogara, skąd zaleci go para.
6. Mądry to zając, co na drugiego ogary sprowadzi.
7. Zając stary wywodzi w pole ogary.

Orzeł

1. Gdzie orzeł mówi, niech wrony zamilczą.
2. Kędy orzeł kracze, tam krucy wtórują.
3. Kto poluje na orła, ten nie patrzy na wróbla.
4. Na orłowem gnieździe zorleje i sowa, choć nocne jej obyczaje i rogata głowa.
5. Orła można z lotu poznać.
6. Orła zmorzonego lada sowa gniecie.
7. Orłowi południe, noc sowie przystoi.
8. Orzeł gołębia nie lęgnie.
9. Z orła górnolotnego mdły się gołąb nie rodzi.
10. Orzeł w słońce rad patrzy, sokół w górę leci, sowa po katach się tłucze.
11. Orzeł na słońce bezpiecznie pogląda.
12. Orzeł zdrożny sowie.
13. Orzeł z kokoszą nigdy się nie zgodzi.
14. Przy orle żywią się i wróble.
15. Za orłem latając, wielekroć się i sroka pożywi.
16. Tam się orłowie zlatują, gdzie ścierw czują.
17. Uciekając przed orłem, wpadł na sępa.
18. Zdechłemu orłu i kobuz zaszkodzi.
19. Złoty orzeł zawsze duleci.
20. Bujać się chce, by orłowi, ku górze.
21. Buja sobie, by orzeł.
22. Lepszy dzięcioł w ręku, niż orzeł na sęku.
23. Pająk dusi muchę, pająka wróbel, wróbla jastrząb, jastrzębia sęp, sępa orzeł.
24. Patrzy, jak orzeł w słońce.
25. Sowa z orłem nigdy nie zrówna.

Panewka.

1. Spaliło mu na panewce.
2. Zbzygło mu z panewki.

3. Pani gniewliwa, dym i panewka dziurawa, ta trojaka rzecz jest skaza domowa.

Pardwa.

1. Tenże smak w pardwie, co w kuropatwie.

Paw.

1. Już popędziły pawie.
2. Pawie, spojrzyj na swe nogi, gdy roztoczysz ogon drogi.
3. Spojrzyj na siebie, jako paw na nogi.
4. Strój anielski, chód złodziejski, głos dyabelski, a mięso baranie, u pawia.

(*C. d. n.*)

Treść Nr. 20 „Łowca Polskiego".

Przegląd krajowych ssaków łownych. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — Jarząbek. *Albert Mniszek* (ciąg dalszy). — W podrównikowej Afryce 1905 r. *Jan Sztolcman* (ciąg dalszy). — O szkockich terrierach. *Mieczysław Beil.* — Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu. *Józef hr. Potocki* (ciąg dalszy). — Z Indyj i Cejlonu (dokończenie). *O. P.* — Zwierzęta militarne. — Korespondencye „Łowca Polskiego". — Dla szkół naszej Macierzy. *Z.* — Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa. — Drobiazgi myśliwskie: (Zwierzyna do Peterhofu). (Gajowi bez broni). (Rozstrzelanie kłusowników). (Protes fabrykantów broni). (Wynalazca rewolweru). [illegible] miasto). [illegible]. (Zwierzostan we Francyi). (Białe kuropatwy). (Archeolog - myśliwy). (Zanik jaskółek). (Mowa papugi). — Humorystyka. — Przysłowia myśliwskie *J. O.* (ciąg dalszy).

W feliet onie: Polowanie z „kwikiem". *B. Łaska* (ciąg dalszy).

Ilustracye: „Sulf".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Ś-to Krzyska 36, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

ADMINISTRACYA
„Łowca Polskiego"
przeniesiona została
na ul. Ś-to Krzyzką № 36

gdzie mieści się w sklepie wydawniczym

„Słowa" i „Kurjera Polskiego".

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 22. *Warszawa, d. 16 Listopada 1906 r.* *R. VIII*

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Ś-to Krzyżka 36 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W listopadzie wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne.

Lunacja w listopadzie.

Nów, d. 16 o g. 9 m. 1 r.
Pierw. kw. d. 22 o g. 2 m. 3 pn.
Pełnia d. 30 o g. 12 m. 31 pn.

Wschód i Zachód Słońca

w listopadzie

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
16	7	25	4	4
17	7	26	4	3
18	7	28	4	2
19	7	30	4	0
20	7	32	3	59
21	7	34	3	58
22	7	35	3	57
23	7	37	3	56
24	7	39	3	54
25	7	40	3	53
26	7	42	3	52
27	7	41	3	51
28	7	45	3	50
29	7	47	3	50
30	7	48	3	49